

Co robiłam w listopadzie 1989?

Ľuba Trubíniková

Rozrabiałam... cóż innego miałam robić?

W owym czasie – po trzyletniej pracy w przedsiębiorstwie geologicznym – byłam doktorantką na Wydziale Budownictwa w Instytucie Geotechniki w bratysławskiej Wyższej Szkole Politechnicznej, kończyłam pisanie doktoratu na temat mechaniki gruntów.

Z początku nie miałam pojęcia, co się dzieje. Telewizji nie oglądałam z zasady (nie chciałam ulegać pasywnej konsumpcji), nie czytywałam gazet (publikowano w nich głównie nieciekawe bzdury), na słuchanie radia nie miałam czasu, polityka była nudna i monotonna. A tyle było innych, ważnych rzeczy – oprócz obowiązków rodzinnych – głównie książki, muzyka, te mniej ekskluzywne formy kultury, przyroda i turystyka, od czasu do czasu sport, różne hobby... i oczywiście partner, przyjaciółki i przyjaciele, koledzy z liceum. Właściwie wtedy już nie ogarniałam wszystkiego tak, jak bym tego chciała.

W poniedziałek rano, jak zwykle, wyruszyłam do naszej pracowni dla doktorantów na 17. piętrze. Uczelniana aula przepelniona była tłumem studentów, pełna wrzawy. Napięcie w powietrzu. „Na dole coś się dzieje, aula pęka od studentów” – informowałam kolegów w pracowni i asystenta z sąsiedztwa, Ľubora. Kolega Rudolf spojrział na mnie z niedowierzaniem: „Ty nic nie wiesz? W Pradze była studencka demonstracja, spalowali studentów”. I wtedy rozpoczął się dla mnie Listopad.

Wszystko się nagle potoczyło samoistnie.

Po studentach przyszła w auli kolej na pracowników – profesorów, asystentów, doktorantów, pracowników administracji. Zawezwani na rozmowę studenci nie byli zaskoczeni, przemawiali jasno i jednoznacznie opowiadali się za rewolucją. Głosy pracowników brzmiały różnie.

Wydarzenia nabierały tempa.

Następnie odbyło się zebranie instytutowe: żadne zwyczajowe przekomarzania, nieformalne rozmowy. Każdy zajęty swoimi myślami, wszyscy śledzący bieg wydarzeń. Krótka i rzeczowa przemowa dyrektora Instytutu. Na zakończenie jednoznaczne

pytanie: Co zrobimy? Jak w stosunku do wydarzeń zachowa się Instytut? A potem zaległa cisza. Poważne twarze, zapadanie się w siebie.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Zwykle na zebraniach instytutowych nie zabierałam głosu. Wtedy jednak wydawało mi się oczywistością, że coś trzeba zrobić. Po dłuższej chwili milczenia zabrałam w końcu głos ja.

Nie pamiętam już dokładnie, co powiedziałam, ale sens był jednoznaczny: „Myślę, że powinniśmy poprzeć studentów. Kiedy dzieje się niesprawiedliwość, trzeba się tym porządnie zająć. Przemoc nie jest dobrym rozwiązaniem”.

Po mnie zabrał głos Rudo i mówił mniej więcej to samo. A następnie do dyskusji włączył się Pan Docent, doyen Instytutu, lubiany przez wszystkich za swoje poczucie humoru: „Bywają czasy, kiedy rozum jest drogocenny, a odwaga tania. Teraz zaś rozum potaniał, a zdrożała odwaga”. Potem podziękował nam, młodym, za to, że nie straciliśmy odwagi i swoim stanowiskiem zawstydziliśmy ich, starszych. I znowu wszystko toczyło się jak po równi pochyłej.

Wtedy rozpoczął się Listopad '89 w Instytucie.

Wydarzenia nabierały tempa.

Współpraca, nowe stosunki międzyludzkie w Instytucie („Łubka, mój szacunek” – szepnął mi po zebraniu instytutowym inny Pan Docent), kontakty z doktorantami z sąsiednich instytutów, ze studentami na wydziale i z innych szkół wyższych. Nieustające spotkania, dyskusje, rozmowy, śledzenie wydarzeń, informacji w mediach. Ciągłe obserwowanie, podejmowanie decyzji, argumentowanie, organizowanie. W nocy przepisywałam na maszynie ulotki i różne materiały.

Manifestacje na Placu SNP. Na pierwszą poszliśmy prosto z wydziału, na piechotę po Obchodnej ulicy – podnieceni tym, co się będzie działo. Użyją siły? Ten wieczór był dla mnie objawieniem. Było to prawdziwe odczarowanie. Nie potrafię tego zwięźle i odpowiednio opisać. Nastął czas ABSOLUTNEJ WOLNOŚCI. Jednego byłam pewna: Czas dojrzał. I to definitywnie.

Wtedy Listopad rozpoczął się absolutnie wszędzie... I to na dobre.

Braliśmy udział we wszystkich manifestacjach. I w wielu innych wydarzeniach. W Instytucie odbyły się nowe wybory. Powołano Wydziałowy komitet koordynacyjny. To w nim reprezentowałam razem z Rudem i kilkoma innymi kolegami doktorantów. Wystąpienia publiczne – na spotkaniach, w radio studenckim, na wiecach, w Teatrze Narodowym. Ciągłe komunikowanie, wszędzie i ze wszystkimi. Nieustające organizowanie. Absolutna intensywność.

Sprawy w Instytucie i na Wydziale biegły już swoim torem. Kiedyś poszłam pomagać w komitecie VPN na Jiraskowej ulicy, powycierałam naczynia, odniosłam coś na pocztę. Nie wydawało mi się, żeby tam ktoś potrzebował mojej pomocy. Ale na uczelni pracy nie brakowało. Pisanie pracy doktorskiej, oczywiście, odsunęłam na bok. Razem z kilkoma kolegami zostałam przedstawicielką doktorantów w nowo powołanym senacie

akademickim. Poświęciliśmy się wtedy w pełni pracom nad reformą szkolną, organizacją i zarządzaniem uczelnią. Wszystkich ogarnął rewolucyjny zapał... O święta naiwności! – reformy nie skończono po dziś dzień...

Później wielokrotnie przechodziłam przez Plac SNP. Na murze budynku przy ówczesnym Domu Mody zauważyłam prostokątny papier, na którym ktoś na maszynie napisał: „Zakładamy Partię Zielonych. Przyjdźcie pomóc...”. I poszłam.

To już był listopad.

Bieg wydarzeń znów nabrał tempa. Wszystko się potoczyło jeszcze szybciej...

Tłumaczyła **Bogumiła Suwara**

Ľuba Trubíniková – aktywnie działa w ruchu obywatelskim i w ruchu ochrony środowiska. Współzałożycielka pierwszej Partii Zielonych w Słowacji (o zasięgu na całą Czechosłowację). Założycielka i prezeska słowackiego oddziału Greenpeace w latach 1993–2003, kierowała kampanią antyjądrową. Pracowała i pracuje w różnych (głównie ekologicznych) organizacjach pozarządowych i inicjatywach obywatelskich. Do pisania doktoratu już nie wróciła.